

Marjan Grzegorzczak

Święta cierpliwość

Przypomina mi się to zdarzenie, ile razy słyszę słowo „cierpliwość” w sensie cnoty społecznej. Szczególnie zaś, ilekroć myśl czy rozmowa skieruje się na Rosję i jej perypetje w ciągu dwudziestu lat ostatnich — perypetje, których niesposób zrozumieć w całej pełni, jeśli się nie wnika w zagadkę rosyjskiej duszy i jej zgoła swoistych cech. A na tę właśnie zagadkę zdarzenie to — chociaż samo w sobie drobne — rzuca dość spory snop światła.

Było to pod koniec wojny, w maju 1918 r. We dwójkę z Michałem Pawlikowskim przedstawialiśmy się w Moskwie, gdzie zarówno wojskowa jak i polityczna praca polska już dogorywała swoje ostatki, na Białorusi i Ukrainie — do Dowbora i Hallera. (O bitwie kaniowskiej jeszcze wieść do Moskwy nie dotarła, a tragedia rozbrojenia I-go korpusu miała się rozegrać dwa dni później). Parostatkami pasażerskimi, kursującymi po Dnieprze, jechaliśmy z Orszy do Mohylowa.

Miedzy bolszewią a okupacją niemiecką biegł pas neutralny Dniepru, który stanowił granicę. Od miasta do przystani w Orszy trzeba było przebrnąć przez cztery kordony placówek bolszewickich, które kolejno brały okup od podróżnych, grabiąc co im się podobało, po nich pięta kontrola niemiecka; definitywnie jednak w sferze okupacyjnej mieliśmy się znaleźć dopiero w Mohylowie. Mimo jednak te trudności, szlak dniepru stanowił stosunkowo najlepszą linię komunikacyjną między Moskwą a Kijowem.

Toteż statek był przepelniony, — przeważnie Rosjanami. Wydostawczy się z granic czerwonego caratu, każdy miał w żywej jeszcze pamięci wszystkie jego okropności: wszak przy wyjeździe z Moskwy byliśmy niemal nocykami świadkami rozstrzelania kilku „mużków”, przyłapanych na szmuglowaniu do stolicy żywności i towarów. Teraz jednak odetchnęliśmy już inną powietrzną atmosferą, a i sama przyroda, uśmiechnięta słonecznym blaskiem majowym, zdawała się wórować naszym nastrojom. Toteż w saloniku pod pokładem, dokąd przed skwarem słońca schroniła się spora część pasażerów, było gwarno od rozmów — tych przygodnych, jakie zwykle bywają w podróży.

Mówiono, oczywiście, przede wszystkim o tem, co w każdym najsilniej pulsowało — o przeżyciach pod władzą bolszewicką i o mętnych perspektywach rosyjskiej przyszłości. Rozgorzały dysputy polityczne: teraz, na gruncie neutralnym, już można było... Mimo to jednak większość jadących wolała trzymać się ostrożnie w milczącej rezerwie — że to, jak wiadomo, „nigdy nie można wiedzieć”. Węć głównie toczył się dialog między dwoma pasażerami.

Jeden, przystojny, siwy pan w starszym wieku, zapewne jakiś wyższy wojskowy, zymał się na panujący w Rosji chaos, spod którego nakoniec się wydostał, aby połączyć się z przebywającą na Ukrainie rodziną. Drugi, tegi i barczysty mężczyzna w sile wieku, najprawdopodobniej kupiec, opowiadał o kłopotach, jakie przybył musiał, zanim znalazł swoich odszukać i ewakuować. Ten również kłął, ile się wlało, na bolszewickie stosunki, ale w konkluzjach nie zgadzał się z wojskowym.

— To my sami winni! — powiedział — bo nasze ziemie i biurokracja wykopały przepaść między sobą i państwem, a dołami społecznymi. Gdyby chłopów traktowano po ludzku, a nie jak pewnego rodzaju dwunożne bydło robocze, nie byłoby ani tylu mordów, rozbojów i grabieży, ani tego całego chaosu... — Panowie pozwolą! — wmięszał się milczący dotąd łysawy je gomość w wieku około pięćdziesiątki. — Może to, co wam powiem, będzie ilustracją do waszej dysputy.

Oczy wszystkich skierowały się ku mówiącemu. Krępa jego postać ubrana była w wytarte i pomięte ubranie, które zwisało workowato. Na twarzy, okolonej

rzadkim zarostem z typowo „kapską” bródką, zwracały uwagę siwe oczy — myślące i pełne jakiegoś pocziwego wyrazu. Wyglądał na uczzonego lub literata.

— Mieszkam — mówił — w gubernji czernichowskiej, w miasteczku N. Jestem sędzią pokoju, a niedaleko od miasta mam swój majątek. Stosunki z chłopami miałem zawsze jaknajlepsze, wystarczy wam powiedzieć, że mnie wybierano na posła do wszystkich kolejno czterech dum. Może obito się wam kiedy o uszy nazwisko Titowa? Gdy wybuchła rewolucja, sami mi zaproponowali przewodnictwo w miejscowym Komitecie, zasiadałem także w „uczreditelnym soborze”, które Kierenski zwołał tuż przed bolszewickim przewrotem. Gdy nas w Piotrogradzie rozpuścili, trzeba było wracać do domu, gdzie sama na gospodarstwie została żona z czworgiem dzieci i matka starowina. O los ich byłem spokojny, a jednak...

Przerwał na chwilę, poczem mówił dalej:

— Najalem w miasteczku konie, aby jaknajprędzej być w domu. Gdy już dojeżdżałem do grupy drzew, wśród których krył się mój dworek, uderzyła mnie w nos ostra woń spalenizny. Za chwilę wiedziałem już: całe moje domostwo było kupą zgłiszcz. A pod zgłiszczami — cała rodzina... Wy-mordowano wszystkich, trzy dni przed moim powrotem... Nie swol to zrobili, przez których tak byłem miłany, tylko podobno jacyś obcy — ale zresztą, czy to można wiedzieć? I tak teraz wólcze się po Rosji, w tych marnych łachmanach, jedynych, jakie mi pozostały: jeżdżę i patrzę — patrzę i jeżdżę. I powiadam wam: oni są jak wielkie dzieci...

Gluche milczenie zaległo pod wpływem tej strasznej opowieści. W saloniku zrobiło się duszno — chciałem wyjść na powietrze. W drzwiach zagroził mi drogę, bolszewicki żołnierz z karabinem w dłoni.

— Nikomu nie wolno ruszać się z miejsca!

Na statku odbywała się rewija, przeprowadzana przez patrol bolszewicki, który łódką nadpłynął z sowieckiego brzegu. Na pokładzie widać było przez luk kilkunastu krasnoarmiejców. Wśród zebranych w saloniku zapanowała konsternacja: szukają kogo, czy też będą raz jeszcze grabili? No, cóż: nie pozostawało nic innego, jak — czekać.

Bolszewicy jednak, jak się potem okazało, zostali „załagodzeni” przez kapitana statku kilkoma setkami. Była to, prawdopodobnie, ich normalna taksa. Rewija przeprowadzali tylko dla formalności. Za chwilę kilku z nich wraz z komendantem zjawili się w salonie pod pokładem.

— Broni u was niema?

Ponieważ nie było, więc zmuszowali nas tylko oczyma, poczem wyszli spowrotem na pokład. Za chwilę widzieliśmy ich, odbijających w łódce od statku. Dopiero z tą chwilą skończyła się martwa cisza, którą wywołali niespodziewani goście. Ich zjawienie się nastąpiło przecież w takim momencie, że odruchowo każdy z tych, którzy słuchali tragicznej opowieści Titowa, pomyślał sobie: Czy to przypadek, nie ci sami właśnie, którzy mu całą rodzinę wyrzneli. Gubernja mohylewska sąsiaduje przecież z czernichowską...

A on, jakby czując kierując się ku sobie spojrzenia, pierwszy przelamał przykre milczenie:

— No wio taki, charoszyje rebiata! (A jednak, mimo wszystko, to dobre chłopaki!) — powiedział głośno, kończąc swoje myśli i odpowiadając zarazem na nasze. Zapanowało powszechne zdumienie, a potem gwar protestów. Najgłośniej perorował kupiec:

— No i jakżeż nie przepadać naszej matce-Rosji? — zawałił, uderzając pięścią w stół. — Nie dlatego ona cierpi i ginie, że ma bolszewików, ale że ma takich, jak pan!...

Titow nie odpowiedział, tylko się smętnie do siebie samego uśmiechał. Ten człowiek miał rzeczywiście „świętą cierpliwość” i „anielską wyrozumiałość”.

Ale czy kupiec nie miał racji?

Nareszcie można było wyjść znowu na pokład i odetchnąć czy-

stem, pochłonięciem, wieczornym powietrzem. Słońce dopiero co zaszło, parostatek sunął bezzwrotnie po cichej wodzie Dniepru. Wtem na wysokim zachodnim brzegu dniepru, na ile czerwieniącego nieba, zarysowała się dziwna nieruchoma sylwetka w potężnym metalowym helmie na głowie — jakgdyby ze średniowiecza żywcem w wiek dwudziesty przeniesiona: żołnierz niemiecki na placówce.

Po raz pierwszy widziałem wówczas niemieckie wojenne helmy. Po świeżej dopiero wizycie bolszewickiej kontrast tych dwu światów uderzał wymową przeciwieństw. Ta nieruchoma postać niemieckiego żołnierza na straży Dniepru urastała do potęgi symbolu. Jak żywy, stał w myśli obraz z „Konrada Wallenroda”.

„Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi, Niemiec na koniu nieruchomy stoi...”

Ten nie na koniu był, ale jednak jakaś krzyżacka szła od niego pośpność i siła. To samo wrażenie mieli zresztą i inni, patrzący nań z pokładu. Śledziłyśmy wzrokiem malejącą sylwetkę na krwistym niebosklonie, aż nagle znikła za zakretem. A wtedy ktoś opowiedział charakterystyczne zdarzenie, jakiego był świadkiem parę miesięcy przedtem, w okresie gdy Niemcy, natrąfiwszy na trudności ze strony bolszewickiej delegacji pokojowej w Brześciu, postanowili użyć argumentu siły i nakazali na całym froncie ofensywę, aby zaatakować Białorusi i Ukrainę.

Na jednej ze stacyj wezwozowych (bodajże było to w Homlu) zebrało się pięć tysięcy żołnierzy czerwonej armii, pragnących co rychlej uciec przed zbliżającą się falą niemiecką. O zdobyciu miejsca w odchodzących pociągach staczano formalne bitwy, ostatecznie jednak pozostali jeszcze tłumy takich, dla których miejsc nie starczyło. A tymczasem Niemcy byli tuż-tuż i na stacji panował niesłychany zamęt: nie wiedzieli, czy się gotować do obrony i walki, czy uciekać — i jak? Nie wiedzieli, kogo słuchać. W sa-

lach gwar, zaduch, błoto, kłótnie...

Nagle, w drzwiach dworcowych stanęło pięciu żołnierzy w obcych mundurach: pierwszy czołowy patrol niemiecki. Nastąpiło to tak nagle, że wśród morza szarych szyneli rosyjskich zapanowała konsternacja. Niektórzy chwytały za karabiny. A podoficer, komendujący patrol niemiecki, zaczął wrzeszczeć na całe gardło:

— Co to za świństwo? Jak wam nie wstyd siedzieć w takim chlewie? Za godzinę nadejdą na wasze wojska: żeby mi do tego czasu był porządek!

Znaleźli się tacy, którzy w mig przetłumaczyli te słowa na język rosyjski, a potem — stało się coś nieoczekiwanego. Pięć tysięcy żołnierzy, po których chwilę temu można się było Bóg wie czego spodziewać — bo równie dobrze strzelaniny do nadeżdżających Niemców, jak i walki między sobą o miejsca w następnym pociągu, albo wręcz puszczania całego dworca z dymem — teraz, jak jeden mąż, jeli się gorączkowo roboty. Śmigły wiadra i szczotki, wyciągano jakieś stare łachy i... myto kamienną posadzkę, wycierając starannie, aby błyszczała.

— Bo Germaniec zaraz tu już będzie, a on porządek lubi!...

I rzeczywiście, nie minęła nawet godzina — cały dworzec lśnił, jak nowiutek.

Oto inny znowu odcinek psychologii rosyjskiej — pomyślałem, słuchając. O ile w opowiadaniu sędziwego Titowa odzwierciedlała się „święta cierpliwość”, jako objaw indywidualny, tu wystąpiła ona w formie zbiorowej (tej samej zresztą, pod której znakiem żyje dziś całe olbrzymie imperium sowieckie). I przypomniał mi się wtedy opis kroniki Nestora, jak to niegdyś zapraszano na Ruś Warjagów:

— Ziemia nasza wielka i żyzna, ale porządku w niej niema: przychodźcie i rządźcie nami!...

Czy charakter narodów nie bywa podobny charakterowi poszczególnego człowieka, który od kolebki do grobu jest w gruncie rzeczy ciągle ten sam?



ZIOŁA Z GÓRCU DR. LAUERA

sa dobrym środkiem dla uregulowania żołądka, usuwają obstrukcję, są łagodnym naturalnym środkiem przeczyszczającym.

Jak zaradzić nędzy wśród polskich studentów?

Mówiło się w Polsce tyle o „szarym człowieku”, t. j. o przeciętnym zahakowanym w codziennym szarpaniu pracowniku. Ale społeczeństwo nasze nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że pojawia się u nas coraz częściej t. zw. „szary student”, młody człowiek żyjący w nędzy i po bohatersku zdobywający wiedzę.

Zwłaszcza teraz w okresie świąt Bożego Narodzenia, gdy serca w nastroju stają się coraz czulsze, warto, aby ludzie w Polsce u, rzytomnili sobie, jaka jest dola „szarego studenta”. O nędzy panującej wśród akademików dochodzą coraz smutniejsze wieści. Cyfry, zanotowane ostatnio na samym tylko Wileńskim Uniwersytecie (USB) są doprawdy wstrząsające.

Okazuje się, że z list studentów przeszło 500 corocznie jest skreślanych za nieopłacenie czesnego. Nie pomaga tu system odroczeń opłat, stypendjów i zapomóg, sumy bowiem w tej postaci młodzieży wypłaca się za małe w porównaniu z liczbą potrzebujących.

Na przeszło 150 stypendjów wypłacanych po 60 zł. miesięcznie złożono trzy razy więcej podań. Fundusz zapomogowy rektora wynosi na U. S. B. 18 tysięcy zł., lecz 70 proc. podań załatwia się odmownie jedynie z braku kredytów.

A jak żyje „szary student”? Jego przeciętny budżet wynosi 30 do 40 zł. miesięcznie. Stwierdza to w swym artykule sekretarz propagandy „Tygodnia Akademickiego”, Witold Matusewicz.

A więc to już nęda w dosłownym znaczeniu. A rezultaty? Otóż zanotowano 17.000 porad lekarskich rocznie i 1900 zarejestrowanych chorych wśród akademików. Gruźlica w wysokim stadium rozwoju, czyli groźną dla otoczenia stwierdzono u 420 studentów — a inne choroby wewnętrzne i nerwowe u 1080 osób.

Jak ten problem nędzy akademików rozwiązać? Nad jego rozwiązywaniem myślą starsi, jak dotychczas, bezskutecznie. Młodzi również nad tem myślą. Aby jednak choć w części zaradzić tej wzmagającej się tragicznej niedoli akademickiej, tworzy się komitety i fundusze zapomogowe. Ostatnio np. księża profesorowie Wydziału Teologii Uniw. Stefana Batoryego proponowali połączyć istniejący na wydziale fundusz zapomogowy dla biednych studentów, który powstał i rośnie ze składek profesorów z niedawno powstałym funduszem im. ks. dr. Lewickiego. Projekt został przyjęty — i w ten sposób z połączenia tych dwóch funduszy powstanie instytucja zapomogowa dla studentów im. ks. kanonika Z. Lewickiego.

Ale taki ofiarny czyn, jak stworzenie wspomnianego funduszu, może zmniejszyć nędzę studentów tylko w drobnej części. Tu trzeba wysiłku całego społeczeństwa, które choć samo przeżywa ciężki okres zmagania się o byt materialny, ale nie może pozwolić, aby marniała ta młodzież, która za cenę swych poświęceń pragnie przez swe studia podtrzymać potęgę ducha i kulturę Polski.

Pogawędka świąteczna

Zyczenia

Podczas mego ostatniego pobytu w A. B. C. redaktor przykazał mi surowo, aczkolwiek z uśmiechem:

— Następną, świąteczną pogawędkę proszę napisać z humorem.

— Przepraszam, panie redaktorze, ale przecież ja nie jestem od humoru. Istnieje w piśmie specjalny humorystyczny dodatek i oni się powinni kłopotać o humor. „Niech każdy czyni w swem kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży”.

Na to redaktor lekko, lecz wymownie się zmarszczył.

— Być może, że pan ma nawet rację — odrzekł — lecz chociaż podczas świąt trzeba dać spracowanym ludziom trochę radości.

— Zapewne... — mruknąłem.

— Tak, tak...

Cóż było robić? Poprawiłem tę kę pod pacha, wcisnąłem czapkę na oczy i ruszyłem na poszukiwanie humoru, ponury jak noc. Bo niby skąd tu w dzisiejszych czasach wytrzasnąć choć odrobinkę radości?

Idę idę... Mijam Nowy Świat, skręcam na Świętokrzyską, potem na Marszałkowską, a humoru jak niema tak niema. Schował się, czy co u parulusza? Gdzie go szukać?

Przypominam sobie ostatnie zebrań literackie, urządzone przez Polskie Radio, a poświęcone humorowi. Niemal wszyscy przedstawiciele naszej literatury świecili na zebraniu swą obecnością. Niektórzy nawet swoją łysinę... Mimo tego blasku niewiele było humoru. Po sali przebiegała wieść o dymisjach, jakie za kilka dni dowcipów politycznych dostali aranzjerowie „lwowskiej wesołej falli”. I mieważe tu człowieku w takich warunkach humor!

Z zebrania tego wyniosłem jednak olbrzymią korzyść. Wygłoszono tam mianowicie dwa referaty. Jeden, teoretyczny, Karola Irzykowskiego i drugi, praktyczny, mgr. Budzyńskiego, który przykładał do i jakby nauce ukazywał, jak się tworzy rzeczy humorystyczne.

— A więc są jakieś przepisy na humor! — pomyślałem sobie i na gwałt zacząłem szukać w pamięci takich teoretycznych wskazówek.

— Mam, mam! — ucieszyłem się i zrobiłem tak rozradowaną minę, że natychmiast podbiegło do mnie trzech foto - operatorów, co to biorąc człowieka na cel aparatu, potem nakręcając filmek i w rezultacie wręczając kartkę:

„Przed chwilą sfilmowaliśmy Wielmożnego Pana”

Wynik całej tej operacji — to wydatek złotoweczki i otrzymanie fotografii, która rozwiewa raz na zawsze złudzenia co do fotogeniczności i za jednym zamachem przekreśla marzenia o karierze filmowej.

Znając to wszystko namiętnie, podziękowałem jak najuprzejmiej trzem amatorom uwiecznienia mojej radosnej osobistości. Nastroilem głębo na szarego człowieka, t. j. na podatki i ruszyłem przed siebie. Mimo ponurego wyrazu nieosiłem w duszy wioinę. Przecież czarodziej Kaden w mowie „O powołaniu pisarza”, wypowiedziane na uroczystym posiedzeniu P. A. L., opowiadał, jak to za dotknięciem palczki talentu słowo ulega błyskawicznemu transformacji; jak to pisarz potrafi dokonać sztuki, „żeby ze słowa bryzłał płacz, żeby dzielnie użyte spłynęło nagle krwią”... Grzebałem w pamięci i coraz dokładniej przypominałem sobie szczegóły. A więc, że słowo raz jest wiernym psem, raz stadem wilków, to znów śmigą jak jeleń, to ulega przedziwnej metamorfozie i z księżycą przedzierzga się w nietoperza, potem w woiu, aby z niego wyfrunąć rojem motyli. (Nie powiedział tylko mistrz, z jakiej części wołowego cielska wyfruwają te motylki). W całej tej menażerii brak jednak szarych wróbelków, które swym wesołym świergotem zdolne są rozweselić ponurą duszę współczesna. Naprawdę wyteżałem pamięć — mistrz o humorze nie rzekł ani sylaby.

Zrozpaczony zaszedłem do cukierni. Warszawska czarna kawa jest rzeczą nadzwyczaj zdrową i pośliną: Nigdy jeszcze cykorja nie zaszkodziła nikomu na serce, a podpalone żyto nie traci witamin. Przy pół - filiżance tego czarnego płynu, który bez najmniejszej

szczy powodów, lecz nagminnie nazywany kawą, myśli się bardzo przyjemnie. Przytem przetrzucając gazety, można natrafić na humorystyczne kawałki, byle tylko ich szukać w poważnych rubrykach. Takie to już bowiem czasy, że humorysty doceną skapcianieli, a ludzie poważni kują na pysznych Twain'ów i Gogolów.

Przewidywania moje spełniły się co do joty. Już w pierwszym piśmie, które wzięłem do ręki, odnalazłem wesoły kawałek. Krył się figlarz skromniutki pod nie mówiącym tytułem: „Z ostatniej chwili”. Przeczytałem go sobie dwa razy, żeby dobrze zapamiętać. Brzmiał tak: „Jak się dowiadujemy, urzędnicy wyższych szczebli, zajmujący po kilka posad, będą płacić większe podatki odpowiednio do uposażeń, jakie pobierają”.

Miła, pogodna wiadomość!... Ja się już lekam o tych moich znajomych, którzy dzierżąc po sześć, siedem i więcej posad, będą się musieli ograniczyć do jednej. Drzałem na myśl, gdzie ci czynni ludzie wyładują swój pospólny genjusz i pośiódnią energję — i naraz okazało się, że niepotrzebnie się przejmowałem. Ot, poprostu zapłacą trochę większy podatek i nadal będą się twórczo wyżywać.

Wzruszyłem się! Jak to pięknie, że nie się nie zmienia! Tak pięknie, że życzę Wam, Czytelnicy, abyście... jak największe płacili podatki, oczywiście z warunkiem zajęcia jak największej ilości posad. A golców trzeba trzymać od pracy zdaleka. To fundamentalna zasada! Niechże pamiętają o niej ci z Was, którzy się wciąż przynajmniej na cztery stanowiska.

Zachęcony wyłowieniem z powodzi codziennych wiadomości takiej pereli, która na długo rozpodziła mi duszę, gorączkowo przetrząsałem dalsze gazety. Naprawdę jednak! Szpalty czerniły się mączkiem sztywnych suchych liter i zawierały wiadomości objętne jak te litery.

— Nic nie będzie z humoru! — pomyślałem sobie i dopilem, jedynym haustem fęszkę wystygłego czarnego płynu.

Wwindowałem się na swoje pięte piętro przygnębiony i zgorzkniały.

Spojrzałem na lśniąca tarczę telefonu. Już podchodziłem, aby zadzwonić do redakcji, że nie napiszę świątecznej pogawędki, bo mimo wytężonych poszukiwań nigdzie nie spotkałem się nos w nos z humorem — gdy naraz spostrzegłem w rogu pokoju malutką choinkę. Śnuły się po niej złote długie nitki, bielił sztuczny śnieg, błyskały tu i ówdzie tani, śmieszne cacka i ozdoby. Rozwrotnięm się... Usłużna pamięć powiodła mnie w czasy dzieciństwa — podsunęła przed oczy dawne zblakłe obrazy...

— Nie zadzwonię! — postanowiłem — Napiszę! Złożę Czytelnikom życzenia.

Tak postanowiwszy, zasiadłem nad białą kartą papieru. Ponieważ nie jestem „specem od humoru”, nie wymyśliłem nic wesołego, lecz w te pogodne jasne święta składam oto wszystkim moc życzeń.

Dziwne są te święta Bożego Narodzenia. W każdym zapala się ci chy promień wesela, myśl każdego biegnie w przeszłość, rozrzewnia się cichym uśmiechem, wspomnieniem tego, co było w życiu najlepsze.

Dzieją się rzeczy osobliwe... Najmniejsza, ciasne mieszkanie zamienia się w jakiś drobny Świątek sam w sobie. Przy białym obrusie, w oczekiwaniu chojny naj skromniejszego lecz tradycyjnego posilku czujemy, jak gdzieś odłada się huczący świat, jak nikną, maleją jego sprawy i jego szaleństwa, a jak my się jednoczymy, zbliżamy, stajemy sobie drożę. Odnają wtedy serca, wilgotnieją oczy. Nadechodzi uroczysta chwila łamania się opłatkiem...

Serce stuka prawdziwą miłością i wybaczeniem.

Kiedy więc będziecie przeżywać tę chwilę, przyjmijcie i ode mnie — chociaż dalecy i nieznani — życzenia, żeby ta pogoda Wigilji pozostała z Wami i w Was jaknajdłużej. Może wtedy mniej będzie negu płynu, który bez najmniejszej